№ 2. Warszawa, dnia (1) 13 Stycznia 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . . „ 5 —

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3 75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12 „Nadesłane”** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. **Zmiana adresu kop. 15.**

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

— A co, nie mówiłem, że panienkę zabiorą? W mieszkaniu dla panienki niema podłogi i okna, bo desek jeszcze niema.

— My koleżankę weźmiemy do siebie — rzekł Jaś, ale wy, wójcie, musicie się pośpieszyć z podłogą.

— No, no, niech się tylko robota przewali.

— A każcie kufer i rzeczy przewieźć do nas.

— O co, jak o to—migiem...

Nauczycielka z kierownikiem odeszli; wójt patrzał za niemi i wzruszał głową.

— Jakaś ci osobliwa, niby pani, córka dziedziczki, albo co?.. Takiej nauczycielki jeszcze nie widziałem, a przecieżem światowiec, i po miastach w wojskum sługiwał.

Szli w milczeniu, Jaś nie śmiał jej podać ramienia—po chwili zaczął:

— Będzie pani z nami pewno niewygodnie, lecz matka mej żony wszystko, co możliwe, przygotowała.

— Bylebym wam tylko nie ciężyła przez te parę dni—odparła wesoło.

Swobodą chwyciła serce nauczycielskie.

— Postaram się — mówiła dalej — nie przeszkadzać, a jeśli mogłabym być w gospodarstwie pomocną...

Nauczyciel uśmiechnął się. Dziewczę przystanęło.

— Wątpisz pan?

— Dziwię się.

— Przekonasz się — dodała z pewną mocą i dumą.

Głos miała melodyjny, miękki, lecz coś było w brzmieniu stanowczego i silnego.

— Pani i gospodarstwo? Nie mam pojęcia jak sobie dasz pani radę z dziećmi w szkole.

— A to dlaczego?

— Bo pani nie wyglądasz na nauczycielkę.

— Zmiłuj się pan!

— Tylko na panią z kanapy.'

— Z kanapy — powtórzyła wesoło. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz się w porę wstrzymała. — Pani z kanapy — szepnęła cicho.

— Prawda—powtórzył nauczyciel — wyglądasz na panią z kanapy.

Rad był z siebie.

— Czy w szkole są dwie sale? — spytała, przybierając ton poważny.

— Nawet trzy wielkie, widne, po czternaście ławek.

— Podzielimy się. Proszę pana o wielką łaskę, abyś mi oddał drugą klasę...

— Powinno być przeciwnie.

— Dlaczego?—stanęła.

— Bo kierownik zwykle bierze drugą—powiedział poważnie.

— Przepraszam, zapomniałam, że przede mną stoi kierownik, moja najbliższa władza. Stanie się jak pan rozkaże. Ośmielę się tylko na jedną uwagę, że do pierwszej potrzebna powaga mężczyzny, a ja sobie w drugiej ze starszemi łatwiej dam radę.

Z ganeczku mieszkania nauczyciela, okrytego liśćmi winogradu, wybiegła Józia.

— Moja żona—rzekł kierownik.

Przyśpieszyli kroku.

— Nareszcie jesteś pani, panno Zofio. Czekamy, wyglądamy...

Uściskały się, pocałowały, ujęły pod ręce i poszły żywo naprzód, nie zważając na kierownika. Szedł za niemi, nie rad z przybyłej i z siebie. Przygniatała go. Czuł się wobec niej niezręcznym, to go onieśmielało i bolało.

Młode kobiety znikły w budynku szkolnym, kierownik został, chodził przed szkołą zamyślony, nie patrząc na czary wiosennego wieczoru. Ciężar padł mu na serce. Zdawało mu się, że jest upokorzony przez obcą jakąś panią z kanapy, której podobało się zostać nauczycielką.

— Co ona sobie myśli—zadumał się i głowę pochylił na piersi. Ona mnie pewno ma za głupca występującego w roli zwierzchnika. Zły był na siebie i zaniepokojony. Śliczne ma oczy ta pani z kanapy i uśmiech pański, a to nauczycielka zaledwo z półroczną praktyką w Krakowie. Bóg z nią! O ile moja Józia jest od niej milsza ze swemi tęsknotami, ze swoją dobrocią, ze swojem anielstwem i serdecznością... Myślałem, że przyjedzie dziewczyna skromna, cicha, zalękniona, a tu przyjechała „pani.“ A gdy powiedziałem, że jest panią z kanapy, kąciki ust jej drżały szyderstwem.

Chłopcy przyciągnęli na półwoziu wielki, wysoki kufer. Pościel zaszyta w płótno sterczała na wierzchu.

— Kufer ciężki—mówili—jakby samo złoto, pościel jak dom. To jakaś bogaczka być musi.

— Gospodarze nałożyli nam kufer, a kto teraz go zniesie. Chłopów trza na niego.

— Czekajcie może ja mu dam radę.

— Niech pan profesor nie próbuje, wójt chłop kuty z żelaza, a stękał i klął.

Nauczyciel stanął na półwoziu, chłopcy sznury odwiązali, chwycił kufer, lecz go nie mógł dźwignąć.

Chłopcy w śmiech.

— Skoczcie po Bartka.

— Po Bartka—wołali—on w tej połaci wsi najmocniejszy.

Bartek kufer ruszył, wytężając siły i powoli go spuścił na ziemię.

Chłopcy zanieśli pościel.

W bawialnym pokoju siedziały żona kierownika i „nowa“ już zaprzyjaźnione. Lampa oświecała smukłą postać dziewczęcia, jej ciemno-blond włosy, głębie w niebieskich oczach i podłużny profil o szlachetnych liniach, prosty nos grecki, rozumny, harmonizujący

z uśmiechem wesołym i dobrym — młodości zswobodnej uśmiechem, i szerokiej myśli...

— Teraz już jestem pewna, że mi tu będzie dobrze — odezwała się do wchodzącego kierownika.—Kobiecinę masz pan bardzo sympatyczną. I czegóż więcej potrzeba?...

— Potrzeba — pochwyciła Józia — dobrego kierownika.

— Ależ go znam, dość spojrzeć, aby mu ufać i wierzyć.

Powstała z wyciągniętemi rękoma, które kierownik mimowoli ucałował.

— A kiedyśmy się tak prędko poznali — rzekła Józia—to i pokochamy się. Ja już cię, Zosiu, kocham.

— A ja ciebie.

I znowu się uścisnęły.

— A ty, mój Jasiu, musisz nas teraz kochać obie.

— Dwie ilości równe trzeciej, są sobie równe—rzekł Jaś, wzięty serdecznością.

— Wybornie zastosowana arytmetyka.

— Pan mąż lubi się popisywać uczonością— zrobiła uwagę Józia.

Wyrażenie żony dotknęło go, uważał je za niezręczne. Dostrzegła to Zosia i szybko zawołała.

— Rzeczy moje — zapomniałam o rzeczach.

— Już są! Ludzie mówią, że kufer ciężki, jak złoto...

— Książki tak ciężą! Wyobraź pan sobie, cały spód na cztery warstwy wyłożony książkami, na nie przyszła bielizna, pudełka, drobiazgi i trzy sukienki.

— To tak samo, jak i u mnie. Jedna na codzień, drugo do kościoła i na wizytę—trzecia...

— Od wielkiej parady—dokończyła Zosia— na egzamin, na imieniny, na bal!

— Dzieci, wieczerza — rozszedł się głos z drugiego pokoju.—A teraz pokażcie mi tę „nową..."

Józia podprowadziła „nową."

— Od jutra radabym być „starą" — dokończyła Zosia, zbliżyła się do matki i pocałowała ją w rękę.

— Twarda łapa, chropowata, spracowana, moje dziecko.

— I dlatego ją ze czcią całuję.

Pocałowaniem matki w rękę chwyciła za serce Józię. Kierownik był rozbrojony.

— Taka pani, a łaskawa i dobra.

Przy wieczerzy chciano posadzić „nową" na pierwszem miejscu, lecz ona posadziła matkę. Naprzeciw usiadł kierownik, dumny z pańskości „nowej," jej prostoty i wesołości.

— Więc to rozum tak cięży w kufrze pani?

— Osiemdziesiąt kilka dzieł po parę tomów...

— To blizko na trzy lata do czytania!

— Ty, Zosiu, przeczytałaś je wszystkie?

— Niektóre, mianowicie poezye, po dziesięć razy... umiem je na pamięć.

— Poezye — pochwycił Jaś zaciekawiony— i dużo? Pewno wszystkie!..

— Ale gdzieżtam, cząsteczka zaledwo!..

Zdumienie i ciekawość rosły, a z nimi szacunek dla „nowej."

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z Francyi.

Przed samym Nowym Rokiem słynna aktorka francuzka Rejeane powróciła do Paryża ze swojej, po różnych stolicach europejskich, artystycznej wycieczki. Oczywiście, że od następnego zaraz dnia poczynając, tłumy, zgłodniałej nowości dziennikarskiej reporteryi obległy jej mieszkanie. Szło o to, gdzie była, co widziała, jak była przyjmowaną — ona, reprezentantka sztuki francuzkiej. A że to są we Francyi dzisiejszej sprawy ważności pierwszorzędnej, za któremi upędza się prasa, o tem wie świat cały czytający. Zaszczyt zwierzeń najpoufniejszych przypadł w udziale redakcyi „Figara," a nawet udało się temu dziennikowi zdobyć kilka kartek wydartych z dyaryusza pani Rejeane, z prawem zrobienia z nich użytku. Niezwłocznie ukazały się też one w numerze noworocznym na miejscu naczelnem, tam, gdzie pismo każde pomieszcza wydarzenia najsensacyjniejsze zwane tam: „nouvelles du jour." Nielada tedy epokę stanowić musi dla Francyi ta wędrówka aktorska, skoro jej szczegóły tak sobie wydziera dziennikarstwo, i skoro niemi obdziela czytelników swoich z takiem namaszczeniem, jakie w tych sprawozdaniach spotykamy. Zapoznajmyż się z niektórymi i my także, bo w każdym razie dosyć one charakteryzują współczesny nastrój umysłów w narodzie francuzkim.

Była Rejeane w Rossyi, Hiszpanii, Portugalii i Niemczech, przedstawiała się trzem królowym i jednemu cesarzowi, a oprócz tych głów koronowanych, reszta śmiertelnych przedstawiała się jej, czemu się trudno dziwić, boć przecież gwiazdy tej wielkości mają w naszych czasach swoje przywileje. To jest coś w rodzaju szlachectwa najnowszej inwestytury.

W Wenecyi nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, to też mało wspomina ona o Wenecyi, prócz tego, że miała szczęście mieszkać w apartamencie unieśmiertelnionym przed kilkudziesięciu laty pobytem dwojga wielkich zakochanych: Pani Sand i Alfreda Musseta. Wspomnienia tej idylli zostały upamiętnione jak wiadomo, w dwóch skandalicznych publikacyach ogłoszonych następnie ku zbudowaniu powszechnemu, przez zwaśnionych gołąbków, ale pani Rejeane uważa rozumie się, że stąpała po śladach wielkich wydarzeń dziejowych i „Figaro" reprodukując jej myśli, zdaje się podzielać to zdanie.

W Portugalii przedstawioną była królowej, ale nie zostawiła jej Lizbona tak bogatego plonu wspomnień, jak Madryt. Oh, w tym Madrycie, to był jeden tryumf i jedna owacya. Musimy opowiedzieć to jej językiem własnym, bo inaczej czytelnik nie mógłby sobie stworzyć przybliżonego nawet pojęcia, w jaki to sposób na cywilizowanym Zachodzie wolno jest dzisiaj drwić sobie z publiczności. Otóż królowa hiszpańska miała być, wedle pamiętnika paryzkiej aktoreczki, literalnie olśniona jej osobą. Oprócz czynnego udziału, jaki przyjąć miała monarchini w owacyi teatralnej, poprosiła ją nadto do siebie na rodzaj poufałego przyjęcia, o którem opowiadając koloryzuje sobie pani Rejeane w sposób przechodzący wszelkie wyobrażenie i wszelką przypuszczalną łatwowierność ludzką. Królowa tedy uszczęśliwiona była jej wizytą do tego stopnia, że nie czuła się w prawie pozbawienia przyszłego monarchy Hiszpanii, liczącego dzisiaj 13 lat wieku, rzadkiej sposobności poznania osoby tak znakomitej. Na rozkaz więc matki, adjutant służbowy przyprowadził tego młodego księcia, którego artystka znalazła tak ślicznym i milutkim, że zaledwie oparła się chęci uściskania go. Jeśli ona jednak przezwyciężyła ten impuls, młody król nie był w stanie opanować swojego entuzyazmu, i wycisnął na ręce tej damy pełen szacunku pocałunek, poczem z obliczem uśmiechniętem opuścił wraz z adjutantem apartament królowej matki.

Czy Francuzi tak zrepublikanieli, że o etykiecie na dworze hiszpańskim nie wiedzą nic, a nic? A może tylko plotą o niej jak na mękach, Czy wogóle tak im się zmięszały pojęcia, że pozwalają sobie wmawiać bezkarnie niedorzeczne blagi o przypuszczaniu kilkunastoletnich książąt krwi do całowania rąk bożyszcz królujących na deskach teatralnych i estradowych? A jednak „Figaro" ani jednem słowem wątpliwości nie komentuje tego nieprawdopodobieństwa, ani jednem napomknieniem nie podaje w wątpliwość faktu, o którym prosty, zdrowy rozsądek powiada, że nie mógł mieć miejsca, i nie miał z wszelką pewnością. Nietylko przyszłemu panującemu przecież, ale żadnemu dziecku rozumnych i uczciwych rodziców, nie mogła się za wiedzą tych rodziców i w ich obecności wydarzyć taka miła sposobność, której zresztą ważność i powab oceniłby dopiero jak należy za 5 lub 6 lat każdy trzynastoletni pan podobny. W szczególnych my jednakże żyjemy czasach.

Komika niezrównana jestto wszystko razem, ale kulminacyjny punkt stanowi niewątpliwie przyjazd do Berlina i wszystko, co się tam wydarzyło pani Rejeane. A trzeba wiedzieć czytelnikom, że sztuka, którą tak rozwłóczyła ona po Europie, była to marna komedya Sardou p. t. „Madame Sans-Gêne," króra znają wszyscy i ze sceny, i ze sprawozdań teatralnych. Za inne sprawozdania odpowiadać nie możemy, przypominamy wszakże, że my daliśmy zapatrywania nasze na tę sceniczną robótkę bynajmniej niepochlebne, a to zarówno ze względów na techniczną stronę utworu, jak i na rażące nieposzanowanie powagi osób i wypadków, a w końcu na sfałszowaną w komedyjce historyczną prawdę. Nadto jeśli komu nie przystało rozwożenie po świecie tej parodyi epoki Napoleońskiej, to z pewnością Francuzom i to były niby skrupuły, które p. Rejeane obległy w Berlinie, bo na przedstawieniach dawanych gdzieindziej nie uczuwała ich jakoś wcale. Ale i ta forma, pod jaką się objawił francuzko-aktorski szowinizm i względy, jakimi się posłużyło jej sumienie, zapewniające patryotkę estradową, że nic karygodnego nie spełnia, ośmieszając przed Niemcami historyę swojego kraju, stanowią humorystykę przedziwną.

Pani Rejeane rozumuje sobie tak: Dobrze byłoby zaprodukować się w Berlinie ze sztuką, którą ona tak wysoko podnosi grą swoją, ale nuż wydarzy się podczas przedstawienia

coś takiego, co do zbytku obrazi jej uczucia narodowe? Nuż te Niemcy dodadzą ze swojej nienawiści plemiennej coś takiego, co skaleczy jej miłość dla jej pięknej, kochanej Francyi? To byłoby okropne! A przytem i monarcha niemiecki taki nieprzyjazny.... I tysiące podobnych przeszkód, które jej się wydają niedoprzezwyciężenia. Powoli jednak rozwaga bierze górę. Najprzód choć komedya szykanuje co prawda w dotkliwy sposób epokę, ale ta epoka sama w sobie jest tak wielka... Co do osoby cesarza, to w gruncie rzeczy przecież to nie on wypowiedział wojnę Francyi, a nakoniec te 50,000 franków, które ma przyobiecane za przedstawienia...

Hier liegt der Hund begraben, jak mówią te Niemcy nienawistne. Te franki zdecydowały ostatecznie i zwyciężyły patryotyzm, tylko trzeba się było wycofać z honorem i na to znalazła sobie szowinistka sposób, jak to zobaczymy niebawem. Sztuka miała powodzenie szalone a niemiaszki patrząc na karykaturę tego, który im pod Jeną taką niemiłą dał lekcyą, oklaskiwali z zapałem komedyę, i zrywali boki, patrząc na scenie na tego komparsa bez majestatu, na jego rodzinę kanalijską, na jego poniżającą pozycyę wobec takiego choćby Neiperga — zadowolenie było obustronne. Sztuka francuzka święciła tedy jeden ze swoich tryumfów, a Niemcy święcili swój także, przypatrując się ośmieszaniu tej potęgi, która ich ongi w proch rozbiła, a której oni później takim świetnym odwetem się wypłacili.

Potem następuje jedna jeszcze scena wysokiej śmieszności. Za kulisy przychodzi szambelan i pyta, czy p. Rejeane życzy sobie być przedstawioną monarszej parze niemieckiej. Ona odpowiada łaskawie, że nie ma nic przeciw temu, i jako żywo przychodzi po ostatnim akcie ten sam urzędnik dworski, aby tryumfatorkę zaprowadzić do gabinetu, znajdującego się przy loży cesarskiej. Wchodzi tedy do owego gabinetu i zastaje samą cesarzową, ale zamiast domyśleć się, jak to prosty, zdrowy rozsądek dyktował, że monarchę niemieckiego zatrzymały jakieś sprawy ważniejsze, niż powiedzenie kilku słów protekcyonalnych, ona widzi w tem szczyt delikatności z góry obmyślanej — delikatności prawdziwie francuzkiej, która łechce jej dumę niemądrą niewypowiedzianie. Niechaj kobieta spotka kobietę —porozumienie będzie łatwiejsze—powiada z niezrównaną naiwnością.

Doprawdy myślećby można, że to mistyfikacya, ale „Figaro" powtarza te banialuki najzupełniej seryo. Formalnie wychodzi na to, że się spotkały jakieś jednoznaczne i jednogatunkowe potęgi ze sobą. Boki zerwać można ze śmiechu!

Zjawia się na końcu i cesarz, mówi te kilka słów uznania, ona przyjmuje je do wiadomości i chwali nawzajem statystów teatru niemieckiego, a w końcu znajduje sposobność do powiedzenia, że Napoleon był dosyć wielkim, aby się mógł nie lękać przedstawienia w szlafroku i pantoflach.

Przedziwna refleksya i nadzwyczaj w porę umieszczona!

Oto macie czytelnicy całą Odysseę kaboteńską—oto czem się stają wielkie zasady, wielkie postacie i wielkie wypadki, kiedy im się przyjdzie zwulgaryzować w duszach ludzi małych—kiedy je odtworzy epoka operetki, rada zawsze i wszędzie ściągać wszystko z wyżyn i obniżać do swego poziomu.

S.

Sprawozdania literackie.

Stefan Żeromski: „Ludzie bezdomni," powieść.

Dziwni ci ludzie Żeromskiego!

Wyszli wprost z łona krótkiego okresu pseudo-trzeźwości naszej — a mają dusze po kobiecemu tkliwe — dusze próżne wiary, ale za to pełne bólu. Na widok nędzy ludzkiej, na widok całego ogromu cierpień ziemi, którą to otchłań subtelne ich mózgi uświadamiają sobie doskonale, zrywają się w nich huragany płaczów, szarpie nimi rozpacz bezsilna. Bo też dziwnym zbiegiem okoliczności ci ludzie przyszli na świat w epoce rozpasania egoizmów, w epoce wyrozumowanego i prawami określonego wyzysku, brutalnego urągania pojęciom sprawiedliwości i dobra. Jeden jeszcze rys odróżniający ich od ogólnoludzkiego typu marzycieli. To są ludzie bezdomni. Dom ich padł w gruzy, a oni wloką za sobą żal, taki straszny, nieutulony żal. W ich piersiach krwawi się wiecznie otwarta rana, i wpośród podobnie jak oni bezdomnych, ale spożywaniem chleba powszedniego zajętych i pocieszonych, ludzie ci snują się niby melancholijne cienie, niosące na czołach fatalne znamiona.

Do tych dusz świętych współczuciem, płonących żarem miłości dla wszystkiego, co cierpi, walczących beznadziejnym bojem z falą egoizmu zalewającą świat, należy bohater powieści, doktór Judym, nauczycielka panna Netka, brat jej Wacław, ginący na bezbrzeżnej pościeli śniegów, wreszcie najdziwaczniejszy z pośród nich umysł inżynier Korzecki; ten ostatni wystrzałem z rewolweru dobrowolnie kończący mękę życia.

Treść powieści Żeromskiego powtórzyć nie łatwo. Znakomity nowelista i w powieści nowelistą być nie przestaje, co więcej jest jednocześnie poetą i pisarzem społecznym.

Dwa te charaktery w jednej indywidualności twórczej zawarte, nie ścierają się ze sobą bynajmniej, lecz łącząc dziwnym sposobem, wydają rzecz dziwaczną może, ale piękną, smutną i rozumną — rzecz taką, jak *Ludzie Bezdomni*.

Poeta łamie tam wszelkie prawidła powieściowej formy, i idąc za porywem fantazyi kreśli szereg pięknych obrazów, nie troszcząc się bynazmniej o powiązanie ich używanemi zazwyczaj w takich razach nićmi—wątek opowiadania przerywa dosyć długim fragmentem z pamiętnika i t. p.

Spróbujmy jednak opowiedzieć tę treść.

Dr. Judym syn szewca pijaka z sutereny przypadkiem przechodzi do gimnazyum, potem własnemi już siłami pcha się przez wyższe klasy i uniwersytet.

Doktór jest marzycielem. Wspomnień dzieciństwa spędzonego w nędzy, brudzie, niedoli, nie zatarła w nim nadzieja karyery. Pragnie być lekarzem chorób społecznych nurtujących najniższe warstwy ludzkie. Jakaś siła fatalna pcha go w Paryżu do zwiedzania przytułków noclegowych, ohydnych nor, w których mieszczą się ostatni z ludzi. Po powrocie do Warszawy dr. Judym chciałby poruszyć świat lekarski, chciałby pchnąć go na nowe tory. Medycyna, według niego, to potęga, która w imię praw i zadań wiedzy mogłaby zreformować świat, mogłaby złagodzić jeśli nie uciszyć straszny jęk ludzki, dobywający się z suteryn, poddaszy, fabryk, zaułków przeróżnych. W celu przekonania o tem kolegów, młody lekarz wygłasza prywatny odczyt, którym naraża się na szyderstwa i niechęć słuchaczy. Po takim pierwszym występie nie może liczyć na poparcie ze strony powag lekarskich i napróżno przez kilka miesięcy oczekuje na zjawienie się pierwszego pacyenta.

Utrzymuje tymczasem stosunki ze swoją rodziną, z bratem robotnikiem fabrycznym, z żoną jego, dziećmi, starą ciotką, patrzy na nędzę, ciemnotę, ból, przebywa w dusznem powietrzu małych izdebek, wśród huku młotów, iskier i żarów fabrycznych — wreszcie trafia mu się miejsce w zakładzie wodoleczniczym na prowincyi. Jedzie tedy do Cisów i zaczyna naprawdę żyć. Wychowańcowi cuchnących bruków miejskich przyroda objawia swoje wielkie prawdy — budzi w nim uczucia nieznane. Młody doktór z zapałem oddaje się obowiązkom swego powołania — pracuje za kilku, urządza wzorowo zaniedbany szpital, wprowadza ulepszenia, leczy. Zakład w Cisach, choć jest własnością akcyjnego towarzystwa, zostaje pod protektoratem starego emigranta, Leszczykowskiego, który na handlu z Grekami, Turkami, Ormianami i t. d. dorobił się majątku i chciałby z Cisów zrobić raj. Młody lekarz porozumiewa się z nim i z kasy jego czerpie fundusze na rozmaite przedsięwzięcia, których akcyonaryusze popierać nie chcą W tym czasie jest w możności dopomódz bratu, dla którego pobyt w kraju stał się niemożliwym, do wyjazdu zagranicę.

Prócz umiłowanej pracy, źródłem przyjemności dla młodego doktora jest towarzystwo inteligentne, wśród którego upływa teraz życie tego szewckiego syna. Jestto dla niego świat nowy i pełen uroku. Z pośród świata tego jedna postać kobieca — panna Joanna Podborska, nauczycielka z sąsiedztwa, przelotna niegdyś paryzka znajomość Judyma, niezwykły czar rzuca na duszę młodego człowieka. Miłość wkracza w życie pracownika zapaleńca, miłość odwzajemniona, czysta, prawie wolna od przymieszki pierwiastków zmysłowych.

I właśnie w chwili, gdy wraz z tą miłością ma w życie jego wejść i szczęście, następuje starcie między dyrektorem zakładu a Judymem i wyjazd tego ostatniego z Cisów. Przyczyną poróżnienia były jakieś stawy, siedliska malaryi, które roznosiły zarazę po wiosce i nawet śród przyjezdnych gości zakładowych spowodowały parę wypadków choroby. Judym oddawna uporczywie nalegał, by zaradzono złemu, ale sposoby które podawał wydawały się za drogie. Znaleziono tańszy. Oto zarażoną wodę z owych stawów wraz z mułem i gnijącymi na dnie od lat wielu liśćmi spuszczono do rzeki, która poniosła ją na pola okolicznych wiosek, rozsiewając wszędzie pier-

wiastki zarazy. Judym zwymyślał dyrektora— i poszedł w świat.

W drodze do Warszawy spotkał się ze znajomym inżynieremKorzeckim. Inżynier zabrał go do górniczego Zagłębia. Tam także potrzebowano lekarza. I znów Judym znajduje się w środowisku, z którego wyszedł, znów jest wśród nędzarzy spędzających życie pod ziemią, lub w norach hut. „W duszy Judyma błąkało się dla tych ludzi przywitanie, czy pozdrowienie, ale na usta nie miało siły wypłynąć. Obchodził ich w milczeniu. Piersi jego trzęsły się, a w nich serce. Najtajniejsze, najbardziej istotne uczucie wewnętrzne witało w tych ciemnych i brudnych figurach ojca i matkę.

— To mój ojciec, to moja matka...—szeptały jego wargi.

Po pewnym czasie, jadąc ze swymi chlebodawcami zagranicę, wstąpiła do Zagłębia p. Netka, by odwiedzić narzeczonego. Judym stęskniony przyszedł na pociąg, oprowadzał dziewczynę po fabrykach, podwórzach strasznych od błota i brudu, zaglądał do mieszkań. „Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwcześni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który woła o pomstę do nieba. Spoglądały na nich babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyla...“

Pod wrażeniem tych obrazów, dziewczyna kreśli przed narzeczonym wizerunek przyszłego ich pożycia. „Będziemy wszystko, albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek oddawali dla dobra tych ludzi. Ty nie wiesz, ile szczęścia... Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz, co ona zrobi.

A w Judymie dokonywa się przewrót wielki, bolesny.

— A co zrobimy z nimi?—pyta.

— Z kim?

— Z tymi od cynku?

On ją kocha. On w nocy budzi się i nie śpi, a widzi ją i czuje na swem sercu, ale „widzisz ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć dalekiem przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty. Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko. Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich to idyoci...“

Judym utrzymuje w podnieceniu gorączkowem, że on jest za to wszystko odpowiedzialny.

„Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie krzyczy: nie pozwalam. Otrzymałem wszystko, co potrzeba, muszę to oddać, com wziął. Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani żadnej rzeczy, którąbym przycisnął do serca, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia, muszę być sam jeden.“

Judym sądzi, że w szczęściu zakiełkuje w nim przyschłe nasienie dorobkiewicza, że zfilistrzeje i zatyje w nim serce.

Z ust dziewczyny, której jasną duszę poznaliśmy *w pamiętniku*, wydziera się najpierw płacz, potem ciche słowo: „Szczęść ci Boże!"

I rozchodzi się tych dwoje. Nad Judymem szumi, jęczy rozdarta piorunem sosna.

W tę treść bolesną wplótł autor mnóstwo przepięknych obrazów, tchnących melancholią i bólem. Każda karta jego książki łka długim, nieutulonym płaczem bezdomnych.

Korzecki to marzyciel pragnący, aby zbrodnia była tak samo wyzwoloną, jak cnota, wierzący, że „w nieogarniętym duchu ludzkim sto tysięcy razy więcej jest dobra — że w nim wszystko, prawie wszystko jest dobre. Niech tylko będzie wyzwolony! Wtedy okaże się, że złe zginie...“ Korzecki jest postacią zupełnie nową w naszej literaturze powieściowej. I samobójca ten zostawia po sobie głęboki jakiś żal.

Książkę Żeromskiego składamy smutniejsi, niż przedtem, ale bogatsi o niejedno wrażenie, o niejedną myśl, o niejedno wzbudzone świeżo uczucie.

H. C.

Ze spraw kobiecych.

W tegorocznym trzecim numerze „Słowa“ spotykamy artykuł pióra kobiecego podznaczony inicyałami E. Zm. i opatrzony tytułem: „Nasze panny i małżeństwo.“ Głos to jest surowy dosyć, może nawet o parę stopni więcej niż dosyć, oskarżający matki i córki, wytykający im ich usterki własne, odziedziczone marzycielstwo nieuleczalne, nieznajomość życia, przemieszkiwanie w obłokach, niechęć przystosowania się do warunków danych, a przy tem marzycielstwie i flirt, i różne inne rzeczy niektóre. Owocem rozumie się tego wszystkiego ma być niepohopność mężczyzny do zawierania związku małżeńskiego, bo i nie może być inaczej, zwłaszcza, że *nasze czysto-słowiańskie* braki w wychowaniu utrudniają i pannie także wybór przyszłego--jak ta pani nazywa—towarzysza złej i dobrej doli. Przyczyna zaś leży w tem:

Że my jesteśmy społeczeństwem marzycielskiem, próżnem, że nie wyrabiamy w naszych dzieciach hartu i nie uczymy ich patrzeć trzeźwo. Każda panienka podrastająca słyszy o swojem przyszłem zamążpójściu, jako o czemś niezwyczajnem, wchodzącem w zakres baśni. Wie to panienka, że ojciec i matka myślą dla niej o świetnej partyi, a że jest ładna, więc wierzy w tę świetność i przechodzi często mimo szczerego uczucia, które nie łączy się z widokami ekwipażu i apartamentu. Najczęściej w pogoni za tymi ostatnimi ideałami trawi młoda panna nasza młodość i wyjaławia serce.

Rozbierając alternatywy, jakie ma przed sobą marzycielka taka, przypuścić należy, że te marzenia albo się iszczą, albo zawodzą. W pierwszym wypadku baczyć należy, że przez tak zwane świetne małżeństwo rozumieć należy konieczną nierówność, która dla panienki takiej wchodzącej w stosunki ludzi wyższych majątkiem, urodzeniem, polorem i t. d., i t. d. rękojmi szczęścia nie przedstawia żadnych. Dodaje autorka artykułu, że w zawieraniu takich świetnych partyi więcej jest zawsze winy rodziców, niż panny samej; oni są kusicielami i oni dla zadosyćuczynienia swojej miłości własnej, uniemoralniają córkę.

Tyle o próżności rodzicielskiej, a teraz bliższe określenie tego rozbujania wyobraźni osób młodych, czyli tego marzycielstwa nieszczęsnego.

Powiada p. E Zm., że każda *dusza słowiańska* ma nadmierną dozę tej wybujałości szczypta tego daru opromieniéby mogła życie—zaduża dawka czyni je ciągłym rozdźwiękiem z rzeczywistością. Matki nie tępią w sercach córek tego chwastu, albowiem nie odgadują ich myśli; nie każda matka umie być swojej córki przyjaciółką, ztąd panienki ze zwierzeniami swemi szukają uszu pobłażliwych i znajdują je często tam, gdzie niepowinny. W gronie koleżanek toczą się rozprawy o miłości; zasilane pokątną lekturą, i ztąd właśnie wyrastają chwasty owych wybujałych aspiracyi, a że nikt, jak mówi p. E. Zm. *nie kanalizuje* tych poglądów, więc wyrastają ideały niedościgłe, podczas gdy my żyjemy na ziemi wśród ludzi, a nie na błoniach księżycowych.

Taki zaś ideał w mniemaniu p. Zm. zdobny bywa nietylko w piękny zarost, płomienne oczy i karminowe usta, ale i we wszystkie przymioty serca, umysłu i ducha. Że zaś żaden ze spotkanych mężczyzn nie pasuje do tej miary, więc nieszczęście, zawód et caetera, wskutek których w sercu powstaje pustka, zapełniana coraz częściej parodyą miłości — przebrzydłym flirtem, który w artykule nazwanym jest *ostem amerykańsko-angielskim*.

Rozflirtowana panienka nie rozumie, że przy ogniu, który ma świat odradzać, ona przygrzewa sobie żelazko do grzywki, że kochliwość rozdrażnia nerwy, sieje zarazek histeryi, przepala bezużytecznie organizm i t. d. Ale młoda panienka tego nie pojmuje, albowiem jej nie uczono nigdy, że miłość to nie figlik, ani psikus, ale że to potęga żywiołowa, taka jak przypływ i odpływ morza. Ani mama, ani nauczycielka, ani przełożona nie mówią jej tego nigdy. (Co prawda, że z temi słowami ostatniemi na ustach najciekawiejby wyglądała przełożona). One wszystkie mówią o tem, ale półsłówkami, z półuśmiechem, a tym sposobem panienka uczy się na miłość patrzeć jak na zabawkę. Nie zna przytem życia, bo kochająca matka zawsze starała się odgrodzić ją od rzeczywistości, a matki wogóle uczą nie tego, co my winni jesteśmy dać od siebie życiu, ale tego co nam się należy od życia. Tymczasem te matki powinnyby mówić z córkami szczerze i otwarcie, badać tętno ich serduszek, tłómaczyć im, że nie spotkają na swej drodze królewicza z bajki, ani takiego, co jak Lohengrin spłynie na łabędziu, co będzie pieścił i myśli uprzedzał, ale że to będzie sobie ktoś taki, co przyjedzie w zwyczajnej dorożce, albo na węgierskim wózku, że będzie on jadał bigos i zawijał zawijane zrazy, słowem będzie taki, jak wielu innych, i że trzeba będzie myśleć o jego wygodach, potrzebach i upodobaniach i w tem spełnieniu zadania szukać dla siebie szczęścia. (A co będzie wtedy z tą potęgą żywiołową straszną jak przypływ morza — co ona ma z bigosem i zrazami zawijanymi wspólnego?).

Nie dlatego, aby krytykować, rozbierać, chwalić lub ganić, przytoczyliśmy wam, czytelniczki, te kilka słów sumiennie streszczonych, a obejmujących sporą wiązankę zarzutów pod adresem was samych i matek wa-

szych. Podaliśmy to z racyi, że kobieta pisze o kobietach, a więc dla kobiet, a już czytelniczki same powinnyby osądzić najlepiej, czy słuszne, czy zbyt surowe są te monita — czy na czasie albo spóźnione może cokolwiek — wreszcie czy są one w istocie rodzajem wytkniętego kierunku, albo może zgryźliwem zrzędzeniem tylko.

Sprawozdawca informuje, nie dodając tym razem nic od siebie.

K.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Czyż to możliwe? to musi być złudzenie! Zkądżeby się tu ojciec wziął tak nagle w Paryżu, czyżby mnie przedtem nie uwiadomił, że z Czech przyjedzie? Nie, to nic—to tylko ułuda zmysłów, tylko niezwykłe podobieństwo; toć człowiek ten patrzy na mnie cicho i nie daje najmniejszego znaku, że mnie poznał.

Po tej uwadze ruszyłem naprzód — i krok jeszcze, a byłbym go minął — ale właśnie w tej chwili człowiek ów podniósł rękę.

— Nie jedź, chłopcze, do Anglii—rzekł zupełnie spokojnie.

— Ojcze!—zawołałem ze zdumieniem—a jakto? więc toś ty rzeczywiście? I wiesz o mym zamiarze?

— Nie jedź do Anglii—powtórzył — czekaj tu na wiadomość o mojej śmierci. Zaskoczyła mnie poniekąd. Ostatnią wolę moją znajdziesz w mej bibliotece za starymi foliantami koło kominka na najniższej półce. Arkusz spadł tam przypadkiem, nie znalazłbyś go i dlatego przyszedłem ci to powiedzieć.

Krew zastygła mi w żyłach, przyznaję się, ale trwało to tylko okamgnienie. Wesoły śmiech zabrzmiał mi w uszach: młodzieniec jakiś z dziewczęciem przebiegli koło mnie w żywej zabawie i spłoszyli w jednej chwili widziadlane obrazy mej fantazyi w tak niezrozumiały powstałe sposób. Obejrzałem się parokrotnie dokoła; wszędzie było pusto, cicho, a na miejscu, gdzie — jak mi się zdawało — widziałem ojca swego, nie było również nic, prócz miesięcznych promieni ścielących się po białym chodniku. Doszedłem do przekonania, żem idąc chyba spał, albo przynajmniej śnił; mimo to, nie mogłem długo usnąć. Nie mogłem też obronić się owemu nieokreślonemu wrażeniu niepokoju, które nawet na osobach niezabobonnych tak zwane znaki wywierają. Wstawszy rano z łóżka, zacząłem układać rzeczy w walizce; nie przykładałem żadnej wagi do nocnego widzenia i gotowałem się w drogę do Anglii. Znacznie przed umówioną godziną zjawił się u mnie przyjaciel Anglik, ale przyszedł nie sam. Konstantyn wszedł razem z nim do pokoju — obaj młodzieńcy spotkali się na schodach.

Poznałem na pierwszy rzut oka, że zabobonnego Greka przywiodła do mnie ciekawość, czy spełniło się już proroctwo Anglika? Henry przeciwnie, jak się zdawało, zupełnie już o rzeczy tej zapomniał.

— Pocóż tak wcześnie? — spytałem go. — Czekalibyśmy długo na dworcu kolejowym.

— Zmieniłem zamiar—odpowiedział—pojadę dopiero wieczorem. Obawiam się nadto, że będę musiał z parę dni zatrzymać się w Calais, gwoli pewnej sprawie rodzinnej... Nudziłbyś się pan tam zbytnio, myślę tedy, że lepiej będzie, abyś pan wyjechał dopiero pojutrze z Paryża. Zejdziemy się w Calais, w umówionym hotelu.

Uderzyło mię to, sam nie wiem dlaczego. Konstantyn zaczął się śmiać.

— Zdaje mi się, że Henry jest już z góry zazdrosny o pana! — wołał. — Nie chce, abyś się pan bliżej poznał z tą jego kuzynką; wyobraźnia maluje mi ją białą jak piana morska, z której urodziła się Afrodyta, a złotowłosą jak słońce. Albo może — dodał po chwili — chce, abyś pan oczekiwał w Paryżu na ową tajemniczą wiadomość, którą panu przepowiedział.

Anglik okazał pewne zaniepokojenie, a ja zamyśliłem się mimowoli.

— Wierzysz pan w tak zwane znaki? — zapytałem go, zaczynając opowiadać o swej przygodzie nocnej.

— Ile czasu potrzeba, aby wiadomość mogła dojść z Czech tutaj?—pytał pobladły Grek, który miał śmiesznie, aż elementarne pojęcia z geografii, i dla którego Czechy były jeszcze poniekąd tym samym nieokreślenie dalekim „lasem Hercyńskim,“ co dla klasycznych jego przodków.

— Tydzień? Dziesięć dni? Dwa tygodnie?— odgadywał, bynajmniej nie wzruszając się, ani obrażając naszym śmiechem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Był to *concierge*.

— Telegram, panie! — rzekł, wchodząc do pokoju, i papier położył na stole.

Konstantyn odskoczył przerażony o kilka kroków od Anglika, obok którego stał dotąd, i utkwił we mnie wzrok pytający.

Trzęsącemi się rękoma otworzyłem zaklejony arkusik. Telegram pochodził od nauczyciela z naszej wioski, a treść jego była krótka:

„Ojciec pański zmarł nagle dzisiejszej nocy; ufam, że będziesz pan mógł w czas przybyć na pogrzeb.“

Podzieliłem się wiadomością o stracie swej z przyjaciółmi. Konstantyn drżał całem ciałem. Pożegnał się ze mną serdecznie; na Anglika rzucał tylko przerażone spojrzenia i odszedł, nie podawszy mu ręki. Henry uścisnął mnie z wielkiem współczuciem, prosił, abym mu prędko dał wieść o sobie, i oddalił się cichym krokiem.

Chwilę siedziałem nieruchomo, rażony tą wiadomością. Łzy cisnęły mi się do oczu. Nie było wprawdzie nigdy żadnego serdecznego stosunku między mną a ojcem, ale nie było też żadnych przykrości ani goryczy. Byliśmy zimni jeden dla drugiego przez całe życie, ale w okamgnieniu, gdym go stracił na zawsze, rozgrzało mi się serce. Zapragnąłem jego uścisku. Nie było go już wszakże. Stałem teraz zupełnie sam na wielkim świecie! Myśl ta wzruszyła mnie bardziej, niżbym kiedybądź przeczuwał; teraz dopiero uczułem czem ojciec mnie i czem ja jemu być mogłem. Było zapóźno!

II.

Nie zdążyłem przyjechać w czas na pogrzeb; wszelkiego rodzaju drobne przeszkody nie dały mi urzeczywistnić tego pragnienia. Dotarłem do wsi rodzinnej pod wieczór i zatrzymałem się przed domem staruszka nauczyciela, który przysłał mi był wiadomość o śmierci ojca. Siedział przed domem w ogródku. Powitał mnie razem z żoną bardzo serdecznie; znali mnie oboje od pierwszych mych lat dziecinnych. Podziękowawszy mu za zajęcie się pogrzebem, jąłem go wypytywać o ostatnie chwile nieboszczyka ojca.

— Nie mamy o tem żadnych bliższych wiadomości—opowiadał nauczyciel.—Pod wieczór spotkałem go jeszcze na przechadzce śród pól. Wyglądał na bardzo chorego, był nader osłabiony. Chodziliśmy czas jakiś razem, potem odprowadziłem go aż do samego domu. Zjadł podobno wieczerzę jak zwykle i położył się spać. Nad ranem posłyszał stary Grzegorz, który w ostatnich czasach sypiał koło jego łożnicy, niepokojące jakieś rzężenie; zapalił światło i pospieszył do swego pana, lecz niestety, znalazł go już bez życia. Był podobno jeszcze ciepły, i skonał najpewniej w tejże samej chwili, gdy Grzegorz wchodził.

— Był kto na pogrzebie?—pytałem dalej.

— Oprócz ludu wiejskiego, tylko pan Frydecki; oznajmiłem mu zaraz o smutnym wypadku, wiedząc, że był najlepszym przyjacielem nieboszczyka. Po skończonej ceremonii pogrzebowej odjechał zaraz, nie zatrzymawszy się tu ani na chwilę.

To było wszystko, co wiedział nauczyciel. Udałem się ze wsi piechotą do naszego opodal leżącego domu.

Wieczór był jasny i cichy. Rozglądając się po krainie, czułem, jak piersi mi się rozszerzają. Po zgiełku olbrzymiego miasta, miał w sobie ten spokój przyrody coś wzruszająco uroczystego i mile przytulnego. Z radością witałem uśmiechniętą twarz matki ziemi, którą nam wielkie miasta tak zazdrośnie brukiem ulic i ścianami budynków, niby kamiennym zasłaniają całunem. Matka ziemia! Jakież prawdziwe to wyrażenie! Choćbyśmy; w dzikich snach i rozszalałych pragnieniach do nieba samego szturmowali i obce światy z modrych wyżyn, niby błyszczące zabawki, nierozsądnemi ludzkiemi chcieli zerwać rękoma, przychodzi jednak zawsze czas, gdy nas serce ku wiernym piersiom matki ziemi znowu ciągnąć zaczyna, gdy uśmiech jej znowu nam w duszy gorącą ku niej miłość roznieca.

Wiosna tu na północy była jeszcze bardzo wczesna. Ciemno-brunatne, wielkie, wilgotne bruzdy pól mroczniały jeszcze wyraziście między delikatnemi, żółto - zielonemi źdźbłami, chwiejącemi się cicho a nieustannie pod ciepłymi podmuchami wiatru, który, niby miłośnie całująca dziecię rodzicielka, z młodą swawolił przyrodą. Przesycony tą szczególną wiosenną wonią ziemi, przegrzanej światło-

ścią, przepojonej życiem, szeptał wietrzyk łagodnie, jako wody ciekące. Był to prawdziwy „dech ziemi,“ taki, jaki zapewne stoikom w myślach się jawił, gdy czcigodnej Cererze, tej wielkiej, świętej, tajni pełnej matki — jego imię dawali—Cererze, która nas piersią swą karmi, darami swymi żywi, a w końcu w głębiach łona swego ukrywa, gdy nadejdzie czas, dla którego dojrzewamy.

O pola wiosenne, jakiż wdzięk macie nieodparty! Jakże serdecznie witałem przyjacielskie wasze oblicze, z jakimż zachwytem spoglądałem, niby na zmarszczki drogich prarodziców, na niewytłómaczone zagłębienia owe na waszej powierzchni, które są podobno śladami z nieba spadłych, ku ziemi strąconych aniołów, albo—według innego, pogodniejszego podania — śladami starych bogów, wieszczącemi światu błogosławieństwo i urodzaj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PRASY.

Na początku bieżącego roku wyszedł staraniem zarządu Biblioteki Ordynacyi Zamoyskich, cienki zeszycik mieszczący w sobie nieznane dotąd Zygmunta Krasińskiego myśli i uczucia religijne, zeszycik, któremu wydawcy nadali tytuł: „Myśli pobożne.“

Wspominając o tem wydawnictwie, nie dodawaliśmy od siebie żadnej dla tego krótkiego zbiorku krytycznej oceny, wychodząc z zasady, że jeśli nic z myśli wielkiego poety, nie powinno dla ogółu naszego pozostać nieznanem, to z drugiej strony przymierzanie choćby też najpochlebniejsze, jakichkolwiek estetyczno-literackich regułek do tego rodzaju najwewnętrzniejszej spowiedzi, pozostawionej przez wielkiego ducha, jakim był naprzykład autor „Irydyona,“ uważaliśmy sobie za karygodną profanacyę, zwłaszcza gdy nie mamy wyraźnych śladów jego woli, aby te słowa druk i światło dzienne kiedykolwiek ujrzały. Są przecież na świecie prawa i przepisy, które acz nieskodyfikowane dotąd dla wiadomeści ogólnej, dyktowane są jednak każdemu, przez jego własną delikatność uczuć i poszanowanie dla pamięci jednostek drogich ogółowi.

Pokazuje się jednak, że tego rodzaju względy nie są obowiązujące, bo w Nr. 351 „Kuryera Warszawskiego“ z dnia 20 Grudnia ukazał się artykuł czy komentarz pióra p. F. Hösicka, traktujący ten tak nazwany *utwór* Z. Krasińskiego, i nadający mu tytuł: Modlitewnik dla ukochanej. Przeciwko temu wystąpieniu ogłosił Zarząd Biblioteki Zamoyskich protest, także w łamach „Kuryera Warszawskiego“ z dnia 31 Grudnia roku zeszłego pomieszczony, który uważamy sobie za obowiązek podać w dosłownem brzmieniu dla użytku czytelników „Tygodnika.“ Oto treść:

„Przykra konieczność zmusza bibliotekę do zaniesienia niniejszej protestacyi.

„Autor artykułu nie poinformował czytelników o istocie nieznanego dotąd utworu, niezajął się ani roztrząsaniem myśli, jakie się w nim zawierają, ani rozbiorem formy, lecz we wzniosłych wzruszeniach poety usiłował wynaleźć takie wyrazy, któreby mogły potwierdzić wywody, już raz zbroszurowane we własnem dwutomowem dziele, p. t. Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego (1899). Ztąd głównym przedmiotem docieków p. Hösicka stały się uczucia i losy pani Joanny Bóbr-Piotrowickiej.

„Ani miłośnika literatury, ani jej badacza nie obchodzi w gruncie rzeczy: dla kogo poeta wylewał na papier swe myśli pobożne. Może to być zarówno matka, siostra, albo kobieta ukochana. Chodzi przedewszystkiem, a nawet jedynie o poezyę zawartą w przecudownej, rytmicznej prozie—o tchnienia duszy tak subtelne, że druga istota mogła je uznać za swoje własne. Inaczej postępuje p. Hösick. Zaczyna on swoje sprawozdanie od zmiany tytułu na inny, wedle jego zdania zapewne poprawniejszy. Do takiej poprawki wszakże nie upoważnił go ani Zygmunt Krasiński, który zgoła żadnego tytułu nie położył, ani wydawca, który się jasno wytłómaczył w przedmowie, ani jakakolwiek potrzeba estetyczna czy literacka.

„Roztacza następnie p. Hösick *niezmiernie romantyczną historyę tego utworu*. Z drobiazgowością i natarczywością, jakąby rozwinął chyba sędzia śledczy nad oskarżonym o czyny niemoralne poetą, a z takiem nadużyciem władzy, że wciąga do tej sprawy oprócz oskarżonych i całkiem niewinne istoty. W jakimże bowiem innym celu mógłby nakreślić p. Hösick taki obrazek. Czytając je (Myśli pobożne), kiedy się zna ich genezę, raz po raz widzi się nietylko smutne oblicze pani Bobrowej, jakby wyzierające z tych kartek, ale i dwie urocze główki jej córek. Ale i tego jeszcze zamało p. Hösickowi. Musi on wypowiedzieć wszystko *co wie*, a właściwie, co się wytworzyło w rozhukanej jego imaginacyi, o córkach i wnuczkach pani Bobrowej. Musi zawiadomić czytelników „Kuryera Warszawskiego,“ że *obie przeszły przez życie szczęśliwie, nie zaznawszy samotności ducha, ani umierając sercem.* Nie omieszka on zawiadomić, za kogo wyszła każda z córek, za kogo powychodziły wnuczki i gdzie obecnie mieszkają.

„W prześlicznej litanii uderza p. Hösicka to głównie, że poeta miał jakoby prorocze widzenie ciosów, które miały spotkać panią Joannę. Z tejże litanii wydostaje on tajemnicę nieznaną nikomu, że p. Bobrowa z listami Krasińskiego nie rozstawała się nigdy.

„Nie wdajemy się tutaj w ocenę metody badań p. Hösicka, ale zaznaczyć winniśmy, że domysły jego wysnuły się z interpretacyi listów prywatnych błędnej i rażącej nieposzanowaniem elementarnych zasad przyzwoitości przestrzeganych w cywilizowanem społeczeństwie. Pomijając najdrażliwsze, a najmniej podlegające stwierdzeniu komentarze p. Hösicka, wytkniemy tylko objektywnie dające się udowodnić fakta 1-o Że pani Bobrowa *nie musiała żyć samotna, opuszczona,* 2-o Że zupełną ślepotą dotkniętą nie była, 3-o Że umarła nie w 87, ale w 82 roku życia — nie 4 Maja, lecz 2 Czerwca. Nadto zapewnić możemy, że wnuczka jej oddając rękopis do biblioteki, a następnie zezwalając na ogłoszenie drukiem wiedziała, że w nim ani jedno słowo nie może ubliżać zmarłej.

„Niniejszy wypadek literacki o tyle jeszcze jest szkodliwym, że może zniechęcić posiadaczy rękopisów znakomitych mężów od powierzania ich drukowi. Przeciwko tedy tak niewłaściwemu użytkowaniu z darów protestuję stanowczo.

„Zarząd Biblioteki Ordynacyi Zamoyskich.“

Kto i kiedy nareszcie położy u nas koniec nadużyciom tego rodzaju — kto i kiedy przekonać zdoła głównych szerzycieli złego, kierowników pism mianowicie, że pewnego rodzaju grzeszne szperaniny nietylko nie są żadną sprawie piśmiennictwa oddaną usługą, ale że wbrew przeciwnie stanowią one jedynie najniedyskretniejsze wdzieranie się w tajniki życia ludzi, którzy tyle sobie przecież przynajmniej u ogółu wysłużyć byli powinni, aby poszanowano najmniej pogwałcalną stronę ich myśli i uczuć?

Wszak można być człowiekiem najsubtelniejszej etyki w zasadach i w czynie—można mieć duszę kryształowego przezrocza, a mimo to chcieć pozostać przy własności wyłącznej pewnych pragnień, którychbyśmy nietylko z całym najszerszym ogółem, ale nawet z najbliższymi sercu dzielić nie radzi.

Takiego prawa bezspornej niepogwałcalności używa człowiek każdy w najszerszym zakresie dopóki zastaje przy życiu, to znaczy dopóki ma moc odpędzania natrętników i karania wścibskich, pragnących zazierać tam, gdzie ich nie żaden obowiązek, a prosta i pospolita ciekawość popycha. Miałażby tedy śmierć kłaść odrazu kres prawu własności duchowej, a człowiek iść nietylko pod sąd z dziełami swemi, pragnieniami, dorobkiem całym, ale iść na pastwę prawdziwą domysłów, posądzeń i insynuacyj próżniaczych podszywających się w dodatku pod jakieś imaginacyjne dobro powszechne.

Szanowała a nawet czciła społeczność nasza świeczniki swoje w dziedzinie myśli, ale przecież trudno byłoby komukolwiek przekonać nas, że zyskali oni na tej czci od czasu, gdy się zawzięto u nas na inkwizytorskie zaciekania nad naturą ich stosunku osobistego do jakiejś Maryli, Henryety, Delfiny, Ludwiki, Kory, Eglantyny i t. d., i t. d., i t. d.

Wogóle nas razi nietylko treść wszelkich tego rodzaju studyów, nas rażą i gniewają, i bolą same nawet tytuły, jakie się tym pracom w druku i w mowie potocznej nadaje, a to dlatego przedewszystkiem, że my, którzy bez żadnego zdziwienia czytujemy o kobietach Amuratów, Mechmetów i Abdulów, nie możemy cierpliwie słuchać, gdy nam brzęczy nad uszami tytuł: Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

S.



KRONIKA.

Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe.

Wielkiemu brakowi poparcia, na jaki cierpiał drobny przemysł naszego miasta, zaradziła o tyle o ile założona w roku 1897 instytucya, której nazwę wymienioną czytamy na tytule. Jak szybko wzrasta każde stowarzyszenie, odpowiadające rzeczywistym i koniecznym potrzebom ludności, dowodzi, że to, o którem mówimy, rozpoczęte przed trzema laty przez 23 stowarzyszonych ze śmiesznym kapitałem 350 rubli, liczy dziś członków 6,428, a ich wnioski pieniężne w kasie Towarzystwa doszły poważnej kwoty 292 910 rs.

Ułatwienia kredytu dla drobnych przemysłowców są, można powiedzieć maksymalne. Otrzymujący pożyczkę nie potrzebują wystawiać wekslu; wysokość pożyczek bez poręczeń stanowi 3 razy wzięty wkład jednostki, a spłaty zaciągniętego długu praktykują się w kwotach bardzo nawet drobnych. Rękojmią, że wraz z rozwojem nie przerodzi się stowarzyszenie w instytucyę kapitalistycznego charakteru, jest ściśle ograniczony w ustawie wysokość dywidendy, która 6% przekroczyć w żadnym razie nie może. Znajdujemy też w sprawozdaniu rocznem wymieniony wedle procederów cały drobniejszy przemysł naszego miasta, który dotąd w chwilach potrzeby znatylko drogę do lichwiarzy i lombardów. Nie będziemy wymieniać porządkiem wszelkiego rodzaju, profesyj, których przedstawiciele są członkami czynnymi Towarzystwa, nadmienimy wszakże, że co się tyczy kobiet zarobkujących na rozmaitych polach, czytamy, iż jest tam: hafciarek 18—szwaczek 34—właścicielek magazynów mód 38—utrzymujących szwalnie 64—właścicielek pralni 10, nie licząc już tych kobiet, które się znajdują wśród rzemiosł: szewckiego i krawieckiego, między utrzymującymi magle, składy węglowe, sklepiki wiktuałów i in. podobne.

Szkoła i nauka.

Osoby pragnące obznajmić się z hodowlą roślin pokojowych, mogą nabyć ogólnych co do tego pojęć przy pomocy tak nazwanych kursów pięciodniowych, które ogłasza z Nowym Rokiem Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze w Warszawie. Wykłady mieć będą miejsce w lokalu Towarzystwa (ulica Wiejska Nr. 12) codziennie od godziny 11 do 1-ej. Program wykładów połączonych z demonstracyami obejmuje: a) ogólne pojęcia—b) wybór roślin odpowiednich do hodowli w pokojach—c) ziemia — d) naturalne i sztuczne sposoby rozmnażania—e) sadzenie, przesadzanie i podlewanie—f) szkodniki i choroby — g) warunki przy pomocy których hodowla roślin może być pomyślną. Opłata wynosi rs. 5. Zapisywać się można codziennie pod adresem wskazanym.

Ministeryum Oświaty podało do wiadomości, iż w sprawach dotyczących egzaminów uczennic, gimnazya żeńskie powinny się kierować we wszystkich szczegółach przepisami wydanymi w tym przedmiocie dla gimnazyów męzkich. Wobec tego ministeryum uchyliło podanie jednego z okręgów naukowych w sprawie urządzenia egzaminów ostatecznych dla uczennic gimnazyów żeńskich po wakacyach letnich.

Działalność kobieca.

Ministeryum rolnictwa i dóbr Państwa wydało w ostatnich czasach okólnik do zarządów dóbr skarbowych w guberniach i obwodach, zawiadamiający, iż na przyszłość mogą być dopuszczane do służby w biurach ministeryum kobiety w ilości nie przewyższającej 1/3 wszystkich pracowników danego zarządu. Ministeryum zaleca, aby przy kwalifikowaniu kandydatek do posad biurowych dawać pierwszeństwo wdowom i sierotom po urzędnikach rządowych. Jest też w okólniku wzmianka objaśniająca, iż kobiety zostając na urzędach nie mogą być zaliczone do etatu i nie będą korzystać z praw służby rządowej.

Francuzka liga praw kobiecych wystosowała do prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej odezwę tej treści.

„Francuzka liga praw kobiecych wzruszona wielkiemi cierpieniami wywołanemi przez wojnę w Transwaalu, pomnąc na łzy rodzin zarówno jednej jak drugiej ze stron wojujących, zwraca się do pana z żądaniem, abyś w imieniu rządu rzeczypospolitej uczynić zechciał krok rozjemczy i wezwał strony walczące przedewszystkiem do zawieszenia działań wojennych, a następnie do zwołania sądu rozjemczego. Rząd angielski zawiadamiając mocarstwa europejskie o wypowiedzeniu wojny, pozwala przystosować do okoliczności danych artykuł III konwencyi zawartej w Hadze, który brzmi:

„Prawo ofiarowania swoich usług, lub próba sądu rozjemczego należy do potęg obcych zatargowi, nawet podczas trwania wojny. Wykonanie tego prawa nie może być w żadnym razie poczytane jako czyn wrogi przez którąkolwiek ze stron wojujących."

Sprawy miejskie.

Uboga ludność Warszawy miała w końcu ubiegłego tygodnia pożądane oddawna widowisko. Jak donoszą pisma codzienne, zorganizowana od jakiegoś czasu ruchoma giełda węglowa, zatrudniająca się specyalnie ciągłem podtrzymywaniem zwyżki tego produktu, doświadczyła w pracy swojej pewnej przeszkody czy przerwy. W dniu 5 Stycznia roku bieżącego z rozporządzenia władz oddział żandarmeryi i policyi wykonawczej zeszedł tych obywateli w siedlisku ich działalności w pobliżu stacyi towarowej i tłumnie poprowadził ich do cyrkułu przedewszystkiem dla ujawnienia nazwisk, a następnie będą mieli oni podobno sposobność opowiedzenia sądom niektórych szczegółów organizacyi swego syndykatu. Podobno był to zastęp różnobarwny i różnogatunkowy co do stopnia zamożności, ale najściślej jednoplemienny pod względem pochodzenia i języka.

W radzie miejskiej warszawskiej dobroczynności publicznej wakują stypendya szkolne i wsparcia dla zubożałych kupców oraz ich wdów i sierot, a mianowicie:

2 po rs. 200—5 po rs. 100, i stypendya: 5 po rs. 100 i 1 80-rublowe. Podania kandydatów przyjmowane będą do dnia 17 b. m.

Rząd Gubernialny warszawski wydał w ostatnich czasach 55 pozwoleń na budowę domów i gmachów fabrycznych. Między temi pozwoleniami znajdują się dwa, które zblizka interesować mogą zwolenników sztuki dramatycznej i melomanów, dotyczą one bowiem budowy teatru na Krakowskiem Przedmieściu i sali koncertowej przy ulicy Świętokrzyzkiej.

Wskazówki i rady.

Ciasto kruche na tłuszczu nerkowym wołowym.

W Anglii, krainie plumpudingów i ciast kruchych, używają do tego ostatniego zamiast masła łoju nerkowego wołowego. Łój koniecznie od polędwicy i to z miejsca, gdzie się kruszy jak kasza, rozetrzeć w ręku razem z mąką, tak, aby się uformowała jednakowa kasza. Gdy wszystka mąka jest tak przerobiona, biorąc na funt mąki pół funta łoju, wbić jedno całe jajko, wsypać pół funta cukru miałkiego (pudru, bo mączka kryształiczna jest za gruba), a gdyby było za sucho, wlać łyżkę wody zimnej i wygniatać, jak zwykle, póki dobrze od ręki nie odstaje. Jeżeli takie ciasto ma być użyte do pierogów lub pasztetu, wsypać tylko 4 łuty cukru, soli ile potrzeba, a dla połączenia oprócz jajka wlać tyle wody zimnej, aby się dobrze połączyło. Rozwałkować jak zwykle i używać do czego potrzeba.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. E. L. w Radomiu. Kwestya ta brana bywa bardzo rozmaicie i zwykle jest rozstrzygana bezspornie przez strony interesowane. W tak małym zakresie trudno odpowiedzieć; do wyprawy panny dołączają zwykle meble do sypialnego pokoju (łóżka, umywalnia, toaleta, szafa do bielizny), sprzęty i naczynia kuchenne. Jeśli apartament obszerniejszy, to i meble do buduaru, fortepian i t. p. Meblując mieszkanko z dwóch pokojów, nie można go zbytecznie zacieśniać meblami.

W-na Al. Kosk. w Tyszowcach. Prenumerata na kwartał bieżący odebrana. Rękopisy wręczone Redakcyi.

W na K. Przezd. Zdaje nam się, że objaśnień jakich Sz. Pani żąda „Tygodnik" podaje dostatkiem. Wskazywania firm handlowych unikamy z zasady i dlatego za niemożność usłużenia wedle żądania—przepraszamy.

W na Hel. Siem. Poinformuje każda księgarnia.

W-na Jul. Lask. Prenumerata 3 pism z przesyłką pocztową po potrąceniu rabatu wynosi rs. 16 k. 56. Stosunków z agentami nie mamy żadnych.

W-na Wan. Rafał w Zabokrz. Objaśnień poczerpnąć można z wychodzących obecnie dzieł heraldycznych.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено цензурою. Варшава, 27 Декабря 1899 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.